

„Chirurg filozofii”

Stanisław Borowkin
Zakład Literatury Polskiej
Uniw. Łódzkiego

W DNIU 28 SIERPNIA br. upływa 150 lat od urodzin popularnego w XIX w. autora „Ramot i ramotek”, satyryka-humorysty polskiego Augusta Wilkońskiego. Utwory tego pisarza zawiązały swą popularność wśród czytelników postępowej postawie ich autora wobec aktualnych wówczas zagadnień oraz jego niewątpliwemu talentowi humorystycznemu. Te walory twórczości Wilkońskiego zadecydowały, że stała się ona obok publicystyki Dembowskiego i Kamińskiego, powieści ludowych Kraszewskiego, poezji Cyganerii Warszawskiej, Wasilewskiego, Syrokomli skromnym ilościowo — i dodajmy: zapomnianym — ale wartościowym wkładem w postępową tradycję polskiego romantyzmu w kraju w latach 1831—1863. Z tego względu życie i twórczość Wilkońskiego zasługuje na spopularyzowanie przede wszystkim w Ziemi Wielkopolskiej, w regionie, gdzie się urodził i gdzie spędził dzieciństwo i młodość.

August Wilkoński urodził się dnia 28 sierpnia 1805 r. w Kąkolewie, niedaleko Leszna, jako syn zubożalego szlachcika. Po ukończeniu gimnazjum w Poznaniu — wstępuje w 1824 r. na Uniwersytet Wrocławski, by studiować nauki administracyjne, ekonomiczne i finansowe.

Pierwsza humoreska Wilkońskiego, „Wspomnienie szkolne”, opublikowane w 1840 r. w Warszawie, zyskuje mu uznanie czytelników i krytyków. Czytelnicy wychwytyli w sobie z rąk numery „Bibliotki Warszawskiej”, w której Wilkoński drukował swoje utwory, aby przeczytać, co nowego napisał „Au Wi. chirurg filozofii, kawaler krzyża naturalnego” (bo takim pseudonimem podpisywał się). Staje się on jedną z najpopularniejszych postaci Warszawy. Jest mile widzianym gościem w salonach, doradcą w różnych, często bardzo od siebie odległych sprawach, przyjacielem młodej braci artystycznej.

Mimo sympatii, jaką darzono „chirurga filozofii”, życie jego nie szło po rózach. Honoraria autorskie nie wybawiały Wilkońskiego z kłopotów finansowych, wobec czego musi on szukać nowych źródeł zarobku. Kolportuje czasopisma, sprzedaje książki, udziela korepetycji, a gdy i to nie wystarcza, pożyczka pieniędzy od znajomych, czasami od lichwiarzy. Musi się potem



Strona tytułowa „Ramot i ramotek” w wydaniu „Czytelnika” z r. 1950.

szawy w 1851 r. Otrzymał od hr. Henryka Rzewuskiego propozycję, by został współredaktorem założonego przez Rzewuskiego „Dziennika Warszawskiego”.

Początkowo „Chirurg filozofii” odmawiał przyjęcia propozycji, nie chciał bowiem współpracować z caryzmem — Rzewuskim, przeciwnikiem ruchów narodowych i społecznych, rzecznikiem współpracy z zaborcą. Potem jednak przyjął propozycję, licząc, że udziałem w redagowaniu pisma złagodzi jego wściekłość i nada mu charakter bardziej postępowy. Jednak wspólna praca z Rzewuskim trwała niedługo. Pomiędzy nim a Wilkońskim doszło prawdopodobnie do ostrej wymiany zdań na temat kierunku pisma. Rzewuski, chcąc pozbyć się „chirurga filozofii” z redakcji, spowodował rozkaz władz, nakazujący Wilkońskiemu i jego żonie jako

obywatelom pruskim w ciągu 24 godzin opuścić Warszawę. Wilkoński wyjeżdża do Siekierok, gdzie mieszkali rodzice jego żony.

Wiedząc o współpracy autora „Ramot” z Rzewuskim dotarła do Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Nie znając rzeczywistych motywów — które skłoniły Wilkońskiego do redagowania „Dziennika”, zaczęto go pomawiać o wsteczność, zdradę jego dawnych ideałów itp. Ktoś prawdopodobnie powiedział to Wilkońskiemu w oczy: „chirurg filozofii”, nie mogąc udowodnić swej postępowości ze względów politycznych, wziął sobie do serca niesłuszne oskarżenia i rozchorował się. Do tego przyczyniła się febra. Umarł dnia 4 lutego 1852 r. Twórczość Wilkońskiego była jednak jeszcze długo popularna wśród czytelników.

Ruchy chłopskie, działalność organizacji spiskowych, pamięć o klęsce powstania listopadowego powodowały, że sprawa chłopska była jednym z najczęściej spotykanych zagadnień w literaturze polskiej w kraju w latach 1831—1863, częstym tematem dyskusji w czasopiśmie, przedmiotem rozmów w salonach i dworach. O poprawę doli chłopów walczą publicyści tych czasów: rewolucyjny demokrat Edward Dembowski i Henryk Kamiński; smutną dolę wsi maluje w swych powieściach ludowych J. I. Kraszewski; wieś polska i jej ludzie są częstym źródłem natchnienia poetów: Włodzimierza Wolskiego — autora libretta „Halki”, Romana Zmorskiego, Julii Wojkowskiej, Władysława Syrokomli i innych.

W twórczości Wilkońskiego życie wsi także jest jednym z najczęściej spotykanych tematów.

„Jest to szlachcie starej daty — czytamy w jednej z ramotek — on rozumie, że wcale z innej gliny ulepiony aniżeli biedne chłopki, dlatego uważając ich za swój inwentarz, radby, aby mu nie tylko codziennie, ale i w nocy robili, a kiedy na jeńmińskim kwićkiem do karczmy za 15 godzin ciężkiej i krwawej pracy żniwnej 15 gr. pol. zapłaci, zgrzyta zębami przez cały tydzień i w niedzielę laje ekonomia, dlaczego się samą pańszczyzną obchodzi...”

„Pan Liszczurówicz (...)” — pisze Wilkoński w tej samej



ramotce — chcąc uchodzić za uczywilizowanego, karę cielesną zmienił na karę roboty do dworu. Przejdzie na dworskie pastwisko gęś, Walek musi posłać na cały dzień kobietę z sierpem; przejdzie Maćkowe ciele — Maciek musi cały dzień młócić...”

W ramotce „Zemsta mlecznego brata” Wilkoński przedstawia kosmopolitycznemu wychowaniu hrabiego Ildefonsa wychowanie chłopskiego syna Szczepana w miłości ojczyzny, obyczajów i tradycji; zwraca uwagę czytelnika na szlachetność uczuć ludu.

„Nie w pałacu, ale w ubogiej chacie zrodzony jestem — mówi jeden z bohaterów tej ramotki — mój krwi, ani mojego sumienia nigdy nie sprzedawałem...”

Wilkoński nie poprzestaje jednak na opisanie smutnej doli wsi, okrucieństwa panów i ich ekonomów, przywiązania ludu do ziemi ojczystej, jego szlachetności i prostoty. W gorących słowach protestuje on przeciwko uciskowi pańszczyżnianemu chłopów, wysuwa projekty reform na lepsze.

„Pan Zygmunt ogłaszał zaw sze dziwne wyobrażenia — mówi w jednej z ramotek zacofany ziemianin do postępowego.

— Żal mi, że się panu dziwnymi wydają; niemniej prze to czynszowane włościan stanie się ogólnym szczęściem kraju, ulżeniem naszemu sumieniu, a nawet korzyścią samychże właścicieli dóbr ziemskich.

— Za pozwoleniem, za pozwoleniem; w czym ja to uję moje sumienie i jaką ja to znajdę dla siebie korzyść, gdy chłopom daruję moje własne grunta?

— Swoich własnych gruntów nie darujesz im, panie, tylko oddasz, i to jeszcze za czynsz częstkę tej ziemi, na której oni od tylu wieków byli przeciężeni pańszczyzną, darmochami i rozliczną posługą nad umowę, wbrew wszelkiej sprawiedliwości; częstkę ziemi, którą od dawna kupili u nas krwią swoją, nosząc tak często życie w obronie nie swoich, ale naszych szlacheckich swobód i przywilejów (...)

— Nie rozumiem, co przyjdzie dobrego dla kraju, gdy chłopom grunta rozdacie?

— Gdyby nie więcej, jak zwiększenie liczby obywateli, już to samo będzie szczęściem kraju; wszakże nadto rozszerzy się przemysł rolniczy (...)

— Tak, ale w moich do brach pokaże się minus.

— Pokaże się plus, bo przez sprawiedliwe obwarowanie stosunków pomiędzy właścicielami a włościanami wartość dóbr podniesiona zostanie; role folwarczne, które przy niechętniej robociznie wydają dzisiaj czterzy ziarna, wydadzą przez staranniejszą pracę ziarn dziesięć, a dochodu, jaki właściciele dóbr osiągną, nie będą potrzebowali rozpraszać na nieustanne zapomogi chłopów.”

Pełne życia, ruchu, barw „Ramoty i ramotki” Wilkońskiego nie były wytworem wyłącznie fantazji ich autora, były przede wszystkim owocem jego obserwacji. W trakcie swego burzliwego życia, jako dzierżawca dóbr ziemskich, jako powstaniec, jako mieszkaniec Warszawy, jako bywalec w salonach i dworach — Wilkoński obserwował ludzi i sytuacje, co przy jego talentie humorystycznym pozwoliło mu na naszkicowanie w ramotkach galerii barwnych, wyrazistych a tak wszystkim

dobrze znanych postaci z życia ówczesnego. No, bo któż nie spotkał się z ciemnym, zacofanym szlachcicem, który — jak pisze Wilkoński — „prócz kalendarza Pukszy i książki jeźmości do nabożeństwa innego druku nie znał”? Każdy zetknął się z dumnymi magnatami; każdy widział „przecierających się” w Warszawie i trwoniących rodzicielski majątek młokosów-fircyków, podobnych bliźniaczo nieraz do Kubusia z ramotki.

Każdy też spotkał na warszawskiej ulicy „lwiec” salonową, przodka współczesnych bikiniarzy — „lamparta”. Nie jeden z ówczesnych wojował tak jak Wilkoński z lichwiarzami.

Wilkoński nie był pisarzem rewolucyjnym, lecz był bezspornie pisarzem postępowym. Reformy w sprawie chłopskiej, jakie proponował, ograniczały się do złagodzenia doli chłopów, realizacja ich nie przyniosłaby całkowitego uwolnienia chłopów od ucisku ekonomicznego. Mimo to są one wyrazem protestu przeciwko złu, wyrazem humanitaryzmu pisarza. I to stanowi jedną z wartości jego dzieł.

Wilkoński pokazał w „Ramotkach” blaski i cienie czasów mu współczesnych. Nakreślił zapomniane już dziś typy ludzi, obyczaje, uczty w dworach, pogrzeby, wesela, sprawy wesole i smutne, które kiedyś absorbowały ludzi, radości i kłopoty będące treścią ich dnia codziennego. Uczynił to z talentem, lekko, przystępnie. I dlatego był chętnie czytany; dlatego zasługuje na przypomnienie.

A. F. Kirlo-Nowaczyk

Do nauczycielki wiejskiej

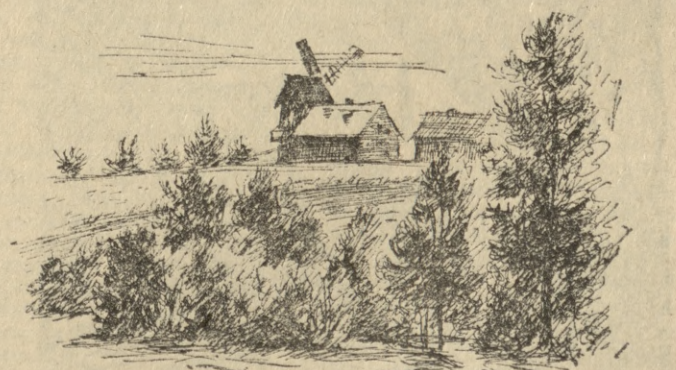
Gdy odchodziłaś, aby na wsi głuchej zapalić światło w pocerniutkich chatach, matka też z oka otarła fartuchem — to lęk o ciebie w jej sercu kolatał.

A ty z tobolekiem niebogatym w rękę i walizką wypchaną książkami, z ukrytą w duszy jak drzazga udręką ku stacji biegłaś sama ulicami.

Wierzyłaś w młodość, co przeszkody wali, i w moc niestartą, którą daje wiedza. I bliska stała ci się chata drwali; i chłopska chwastem porośnięta miedza.

Życie jest próbą, mądrość z doświadczenia, obok radości nieodłączna troska. Po wiekach mroków jako światło z cienia idzie ku światu zapomniana wioska.

A kiedy północ gasi ogień w chatach, z twych okien płynie jasny, ciepły promień. I na jesieni wyłoconych sadach kładzie się z cicha — jak dwie twoje dłonie.



Widok z Boszkowa, pow. Leszno
Rysunek piórkiem — Henryka Derwicha

Teodor Śmiełowski

ZWYCIĘŻYŁ TANIEC MŁODYCH

Poznań od dawna cieszy się zaszczytnym mianem „stolicy muzycznej” Polski Ludowej. Nie każdy jednak zapewne wie, iż Poznań to także poważny ośrodek sztuki tanecznej, gdzie Terpsychora — jedna z najbardziej umiłowanych muz Olimpu — właśnie w Operze poznańskiej i w Państw. Szkole Baletowej znalazła przytulne gniazdo. Tutaj już przed wojną oglądaliśmy takie dzieła, jak „Wieszczka lalek”, „Copellia”, — Delibes, „Tatry” — Nowowiejskiego, „Pana Twardowskiego” — Różyckiego, „Syrene” — Maliszewskiego. W 10-lecie Polski Ludowej, za dyrekcji dr. Z. Latoszewskiego, prof. W. Bierdajewa i ostatnio Z. Górzyńskiego wyrosło nowe — obok doświadczonego mistrzów — pokolenie niezwykle zdolnych choreografów, baletmistrzów i solistów.

Konrad Drzewiecki i Teresa Kujawa — po raz drugi laureaci Festiwalu Młodzieży, w tym dorobku 10-lecia sztuki tanecznej w Polsce Ludowej zapisali piękną kartę. Pamiętamy doskonale kreacje taneczne Drzewieckiego, dojrzałe zarówno pod względem technicznym, jak i koncepcyjno-aktorskim, wyróżniające się wybitnym wyczuciem rytmu i nerwem dramatycznym. Konrad Drzewiecki — laureat złotego medalu V Światowego Festiwalu Młodzieży i Studentów w Warszawie, a dwa lata temu srebrnego medalu w Bukareszcie — w Bukareszcie — jest dzieckiem Poznania. Tutaj uczęszczał do szkoły podstawowej przy ul. Wszystkich Świętych i do b. gimnazjum Jana Kantego. W r. 1946 debiutuje na scenie Opery poznańskiej, po czym przenosi się niebawem do zespołu baletowego Domu Wojska Polskiego w Warszawie, w którym w ciągu dwóch lat występuje m. in. w 14 miejscowościach Czechosłowacji — również w Pradze. Miszcz, Kapliński, Wójcikowski, Parnell — to —



Konrad Drzewiecki w pełnym wyrazu wariacji tanecznych z „Tańców Polowieckich” z opery „Kniaź Igor” — Borodina, za którą to kreację otrzymał m. in. Złoty Medal na V Festiwalu Młodzieży w zakresie tańców charakterystycznych.

obok Kopńskiego z DWP — mistrzowie młodego, ambitnego Konrada, który własnym talentem i pracą doszedł do tak pięknych wyników w trudnej, a jakże wdzięcznej dyscyplinie sztuki, jaką jest taniec charakterystyczny. Młody laureat z uśmiechem wspomina piękne dni Festiwalu Warszawskiego i niezapomniane popisy taneczny radzieckich i chińskich, laureatów większości nagród w tańcu. W szlachetnym współzawodnictwie wśród 98 tancerzy charakterystycznych startowało 17 Polaków przed 15-osobowym jury z Ławrowskim i Zacharowem (ZSRR) na czele.

Konrad Drzewiecki pokazał 3 tańce charakterystyczne: wariacje taneczne z „Tańców (Dokończenie na str. 2)

Ambicje i możliwości

Repertuar teatru oceniamy zazwyczaj już do pod kątem równowagi na szalach światowej klasyki i współczesności, sięgania po tytuły nasze ze szczególnym uwzględnieniem sztuk, opiewających trudną i piękną rzeczywistość — już to wzbogacania programu pozycjami z dramatu i opisarstwa radzieckiego i kra- jów demokracji ludowej, u- tworami postępowych pisarzy

WŚRÓD KSIĄŻEK

St. Szymborski — „Port morski”. Wydawnictwo typu albumowego, obficie ilustrowane. Książka przedstawia w ilustracjach i załączonych do nich tekstach całą problematykę portową, a więc kształtowanie się brzegu morskiego i terenów portowych, budowę portu z zapleczem itd. Ma ona charakter popularno-fachowy i w tym ujęciu zainteresuje najszerze koła czytelników — zarówno dorosłych, jak i młodzież.

L. Rudnicki — „Odrodzenie”. Jest to dawny debiut literacki znanego pisarza-robotnika, powstały w 1920 r. Napisany w formie powieści autobiograficznej, stanowi prototyp „Starego i Nowego”, mówiący o drodze rozwojowej Rudnickiego. „Odrodzenie” cechuje ten sam co „Stare i Nowe”, kipiący werwą i humorem styl, to samo bogactwo języka, pełne ludowych zwrotów.

H. Fast — „Ostatnia granica”. Jest to powieść o eksterminacji Indian w Stanach Zjednoczonych w siedemdziesiątych latach ubiegłego stulecia. Przed oczami czytelnika przesuwają się obrazy walk i zmagania trzystu Indian, stanowiących szereg Czeczenów, o prawo do wolnego życia przeciwko kilku uzbrojonym dywizjom wojsk Stanów Zjednoczonych. I choć Indianie giną, walka ich staje się jakby symbolem zwycięstwa. Autor bowiem sięga dalej i pokazuje sens słusznej walki o wolność. Ciekawa, dramatyczna akcja powieści zainteresuje młodzież.

„ZIEMIA LUBUSKA”

Związki twórcze i Komitet Wojewódzki Frontu Narodowego w Zielonej Górze wydały pod datą lipiec — sierpień 1955, jednodzielną pt. „Ziemia Lubuska”. 16 stron druku na dobrym papierze obejmuje pozycje ze wszystkich niemal dziedzin naszego życia kulturalnego, jak: plastyka, teatr, czytelniczość. Znajdują się tam również publikacje o charakterze naukowym — zwraca na siebie uwagę cenny artykuł mgr. Korca — „Wojska husyckie na Ziemi Lubuskiej”, proza, poezja wreszcie kącik satyry. Prace zamieszczone w piśmie nawiązują do aktualnych wydarzeń politycznych i kulturalnych — mamy więc wiersze, poświęcone świętu 22 Lipca (Mastowski), Miekiewiczowi — (poemat Łobody), walce opokój (już nie wiersz, ale opowiadanie Jasirskiego), sportowi (wiersze Łobody). O teście, zresztą dość pobieżnie pisze Z. Głazewski. Wydawnictwo uzupełniają liczne fotografie. Prozę w „Ziemie Lubuskiej” zamieszcza Ingeborga Bieniek.

Przeglądając pismo, trudno jednak nie oprzeć się wrażeniu, że pewna część prac nosi charakter przypadkowy, że niektóre fragmenty prozy czy poezji grzeszą prymitywizmem, bądź wręcz kiepską znajomością języka polskiego. Na przyszłość należałoby dokonać selekcji selekcji materiałów literackich, ograniczyć rozdyktą dział poezji (około 40 wierszy) na rzecz reportażu, krytyki teatralnej, publicystyki kulturalnej, artykułów omawiających sprawy muzyki czy plastyki.

Mimo braków, pierwszy numer pisma, jako przejaw aktywności związków twórczych Ziemi Lubuskiej, a także dający pewne wyobrażenie o życiu kulturalnym tej części Ziemi Zachodnich, zasługuje na uwagę.

(Cz. Mich.)



„Pejzaż” — drzeworyt jednego z plastyków lubuskich, K. Felchnerowskiego

Zachodu. W ten sposób skonstruowany repertuar, zawierający po trosze „z każdej beczki”, opatrzone firmą wielkości pisarskich, powinien nie tylko zadość uczynić wymaganiom centralnych instytucji, ale i co ważniejsze, zadowolić widza.

Mam wrażenie, że te wszystkie zalety różnorodności, także jakości (nazwiska), a więc poziomu literackiego i ciężaru gatunkowego, a nawet eksperymentu (bo któryż z teatrow nie pokusi się o pewną oryginalność repertuarową) — posiada program teatrów poznańskich na sezon 1955/56.

Co zobaczymy w Poznaniu

Zamierzenia są istotnie bardzo ambitne a nawet śmiałe. Weźmy na przykład Teatr Polski. „Wrogowie” — Gorkiego (w Miesiącu Pogłębiecia Przyjaźni Polsko-Radzieckiej), dalej w związku z Rokiem Schillerowskim „Intryga i miłość”, autora „Zbójców”. Potem chyba prapremiera współczesnej sztuki Leona Kruczkowskiego „Odwiedź” (drukowane w lipcowym numerze „Twórczości”). Dalej znowu „z okazji” roku romantyzmu „Horszypski” — Słowackiego. Szekspir — do uzgodnienia tylko „Król Lear” czy „Romeo i Julia”. Planuje się wystawienie nie granej u nas sztuki Pogodina — „Kuranty kremlowskie”. Jeszcze Czechow — „Wujaszek Wania”. Do tego należałoby dodać wznowienie „Łaskawego chleba” Turgieniewa i wydobycie z lamusa, ale pieczołowicie odkurzonej przez Stanisława Hebanowskiego sztuki Dominika Magnuszewskiego „Rozbójnik salonowy”. — Warto nam przypomnieć, że autor, żyjący w latach 1810 — 1835, był jednym z przedstawicieli realistycznego nurtu w naszym romantyzmie, a poza tym serdecznym przyjacielem Edwarda Dembowskiego.

Na drugiej (Teatr Nowy) i ostatniej scenie poznańskiej* ujrzymy poza granicami już w lipcu „Romansem malajskim” Mory Brand, dwie sztuki współczesne polskich pisarzy. A więc nagrodzonych w bieżącym roku „Maturzystów” Skowronskiego oraz debiut dramatopisarski Lesia wa Bartelskiego „Nim słońce wejdzie”. Do tego prawdomnie „doszłusują” dwie mało znane komedie Fredry. — Ciekawą pozycją będzie rzadko grywana sztuka Rittnera „Lato”. Poza tym wymieniamy się sztukę Rogera Vaillanda „Abelard i Heloiza”, a także słynne „Czarownice z Salem” pióra amerykańskiego pisarza — Artura Millera. (Z tekstem „Czarownice” zapoznaliśmy się w kilku kolejnych numerach „Życia Literackiego”). Duże zaciekawienie budzi nowa, bardzo interesująca sztuka Krzysztofa Gruszczyńskiego „Klucz od przepaści” opowiadająca dalsze losy lotnika amerykańskiego, który w Hrośimie zamordował bombą atomową około 300 tys. ludzi. (Fragment tej sztuki czytaliśmy w jednym z lipcowych numerów „Nowej Kultury”). Na zakończenie warto jeszcze wspomnieć o zamiarze umieszczenia na afiszu „Złotej karety”, pisarza radzieckiego Leonowa, sztuki, traktującej o włączaniu się do pokojowego budownictwa.

* Komedie Muzyka zostanie zlikwidowana.

byłych żołnierzy Armii Radzieckiej, uczestników II wojny światowej.

Krzywa idzie w górę

Jak więc widzimy, po zakończeniu tej rewii nazwisk i tytułów kierownictwo artystyczne teatrów poznańskich zakreśliło sobie, zaryzykujemy twierdzenie, program maksimum. Ale przecież, podkreślmy, ten niewatpliwy ambitny zamysł łączy się z poważną odpowiedzialnością za jakość jego realizacji. Sprawa wydaje się tym bardziej godną uwagi, że przecież w roku teatralnym 1954/55 teatr nasz borykał się z poważnymi trudnościami, że — mówiąc krótko — nie wszystkie przedstawienia stały na odpowiednim poziomie. Przecież nie trudno przypominąć silne kontrastujące z sobą spektakle: „Ballad i romanse” (in plus) i „Skapca” — Mollera w Teatrze Nowym, czy też przeciwstawić ciekawe przedstawienia: „Domu kobiet” — Nakowskiej i „Żywego trupa” — Tołstoja ze „Ślubami panienskim”, które, powtarzając słowa krytyki, lepiej „zrobił prowincjonalny teatr w Gnieźnie”. Ta trochę zygawkowata droga teatrów poznańskich w minionym okresie świadczy o pewnym kryzysie, jaki przeżywała nasza Melpomena. W nadchodzącym roku teatralnym, wobec tak poważnych planów, kryzys ten powinien zostać przezwyciężony. Że idzie ku lepszeniu, świadczy choćby o tym dobre przedstawienie „Rozbójnika salonowego”.

Praca

z młodym aktorem

Poznańskie środowisko teatralne należy niewątpliwie do słabszych w kraju, choćby w porównaniu z Łodzią, Krakowem czy Wrocławiem. Stąd też kierownictwo artystyczne naszych teatrów będzie musiało włożyć wiele wysiłku, aby sprostać nakreślonym zadaniom. Znaleźli się i u nas dufogalowi pesymiści — którzy, nie napotykając wśród aktorów na nazwiska, już na zapas wymachu ją desperacko rękami. Trzeba jednak przyznać, że wyłania się obiektywna racja: tarapaty personalne. To prawda, że zbyt wielu nazwisk u nas nie ma. Nie w tym jednak leży sedno sprawy. Nacisk trzeba bowiem położyć na wzrost aktora. Najistotniejszym warunkiem rozwoju jest odpowiednia praca dyrektora i reżyserów z młodzieżą, z młodymi aktorami, właściwa atmosfera moralna w zespole. Ie talentu i zapалу można wykrzesać nawet z de-

biutantów, świadczy przykład Kielec, gdzie wyróżnieni nagrodą państwową: Irena i Tadeusz Byrscy, współdziałając z młodzieżą, dali kilka przedstawień, których nie powstydziliby się żaden z prądujących teatrów warszawskich. Również poznański Teatr Satyryków zdobył się na nie byle jaki wysiłek, wystawiając „Babcie i wnuczka” — Gałczyńskiego. „Nowa Kultura” (w numerze z dnia 31 lipca br.), oprócz uwag krytycznych, przyznaje spektaklowi szereg plusów, zwłaszcza w dziedzinie reżyserii i inscenizacji. Uciekając się do eksperymentu, oddano, mimo to doskonale styl Gałczyńskiego, zachowano nośność jego oryginalnej, poetyckiej metafory.

Przykłady Kielec i poznański Teatr Satyryków — wiele uczą.

Zwyciężył taniec młodych

(Dokończenie ze str. 1)

połowieckich — Borodina (w układzie Miszczyka), Faruka z baletu „Trójkątny kapelus” — de Falli (w układzie Wójcikowskiego) i groteskę „Na dworcu” — ze suity „Komedianci” — Kabalewskiego (w układzie Parrella), co zapewniło mu obok artystów chińskich równorzędne i miejsce w konkursie. Powyższe trzy tańce były jakby syntetycznym sprawdzianem umiejętności tanecznych Drze-



Teresa Kujawa w znakomitej kreacji Tatarów z „Tańców Połowieckich” — Borodina (opracowanie baletmistrza Miszczyka).

wieckiego — od finezyjnego gestu do najbardziej karkołomnej akrobatyki, przy czym każdy taniec miał swój odrobny, oryginalny kompozycyjnie wyraz — odbijający temperament naszych trzech czołowych baletmistrzów Pol-

ski. Z satysfakcją wspomina Drzewiecki swój pobyt z Operą poznańską w Moskwie, gdzie chętnie chciałby studiować nadal zawile arka-na sztuki tanecznej. Repertuar Drzewieckiego stale się powiększa, od „Serenady” — Mozarta, „Szeherazady” — Rimski-Korsakowa, „Pór roku” — Czajkowskiego, „Dyla Sowizdrzała” — Straussa, „Suity Hiszpańskiej” — Granadosa, „Noce Walpurgii” — z „Fausta” — Gounoda do „Ucznia Czarnoksiężnika” — Dukasa, „Copellii” — Delibesa, „Z chłopów król” — Bacewiczówny, „Jeziora labedziego” — Czajkowskiego ze wspaniałym Rudolosem na czele. W uznaniu zasług artystycznych został odznaczony niedawno również Złotym Krzyżem Zasługi. Przygotowywana rola diabła w „Panu Twardowskim” Różyckiego (najbliższa premiera baletowa w Operze) pasjonuje naszego solistę już dziś bez reszty. Okazuje się, iż na estradzie celuje Drzewiecki w „kreacjach diabolicznych”.

Teresa Kujawa, nie tylko doskonała partnerek Drzewieckiego na estradzie, ale i w... życiu osobistym, zdobyła wespół z mężem Srebrny Medal w Bukareszcie za „Kujawiaka” — Młynarskiego. Kruczkowska Pomorzanka z Bydgoszczy jest niezastąpiona w tańcach hiszpańskich, doskonale opracowanych pod kierunkiem Wójcikowskiego. IV nagrodę na Festiwalu Warszawskim otrzymała za „Preludium” — Rachmaninowa, nadawane również w programie telewizyjnym w Warszawie. Banchantka w „Swantewicie” — Perkowskiego (koncepcja Wójcikowskiego), Cyganka w „Copellii”, Hiszpanka w „Jeziorze labedzim”, Tatarka w „Kniaziu Igorze” — oto niektóre z licznych kreacji Teresy Kujawy, stale kształtujące się w pogłębianiu wiedzy tanecznej.

Piękny to przykład ambitnej pracy młodych polskich tancerzy, wysoko pojmujących zadania artysty w Polsce Ludowej. Jesteśmy przekonani, iż laureaci z nowym sezonem artystycznym pokażą swe tańce liczniejszej publiczności poznańskiej, która potrafi nagrodzić b. szczerze trud i wysiłek włożony w precyzyjne wypracowanie każdej koncepcji tanecznej.

TEODOR ŚMIEŁOWSKI

Józef Baranowski

DZIWAŁ

Już trzymała ją w ręku. Szczęśliwa, uśmiechnięta.

— Przyjdzie dziadzia do nas? Bo jutro piasek będą wozic i cegły. Więc nie pozwól. Szkoła tu będzie. Dziadzia słyszał? Szkołę będą budować.

I wybiegła z altany. Zablęsty w słońcu kędzierzawe włosy.

— Szkołę pobudują...

Popatrzył na altanę, na drewniany stół, z którego wiatr zdmuchiwał do brzo wysuszone liście.

„...że były małe snopki, mało nas, mało nas.”

A ty dziadku chodź do nas. — dobiegła go piosenka dzieci.

— Łaskę zabiorę. Przekopię ją. A co z dziećmi? Do szkoły pójdą. Do nowej szkoły. Lipiec, sierpień i już jesień. Okna zabłysną w szkole. Będzie wieczorem jasno.

Wstał, prostując z trudem obolałe plecy.

— A w sprawie tej skrzyni, trzeba będzie powiadomić dzieci.

Niech przyjdą jutro.

Dropnym krokiem skierował się ku łazce. Teraz już bez obawy nadbiegły dzieci. Wiedziały, że kiedy „dziadzio” pragnie z nimi zabawić, wszelkie pytania odpadają.

Otoczyły go kołami.

— W ślepa babkę, dziadziu, w ślepa babkę.

— Tylko nie rozchodź się za daleko, bo nie nadążę.

Najstarsza z dziewczynek podała mu zielony szalik. Już kroczył w ciemnościach, wśród radosnych nawoływań dzieci. Gubiły się wokół uśmiechy jak rozsypane kwiaty, które trudno było odnaleźć.

— Daj się złapać, Hanka. Daj się złapać. Dziadzia się zmęczył.

— Aha! Mam ptaszka, mam ptaszka — cieszył się „dziadzio”.

Łaska wydała się jaśniejszą z chwilą, kiedy odzwał zielony szalik. Ale już matki nawoływały dzieci. Wieczór przypominał się chłodnym wiatrem.

*

— Przecież to moja „szkółka”. Dzieci w niej uczę.

— Szkółka, jaka tam szkoła? Rozemniał się stróż. Spróchniała altana i tyle. Jutro już ją rozbiorą. Na nie taka łaska, panie dziadziu. Przynajmniej szkołę postawią. Dużą, nowoczesną. Tam możecie uczyć. Starczy miejsca dla wszystkich.

— Już po mojej szkole, już dawno! — Starzec spojrział z pewnym politowaniem na stróża.

— A to z was nauczyciel — emeryt. Piękne lata, piękne lata. Oho! I bez kłopotu, bo z dziećmi nie tak łatwo. Wiadomo.

— Że co? Że nie łatwo? Dzieci, jak dzieci. Ja bym... — szukał w myślach porównania.

Ale stróż już się oddalił. Jakoś nie kleiła mu się rozmowa. Starzec skierował się ku altanie. W pewnej chwili

450 lat Uniwersytetu Wrocławskiego

W lipcu br. upłynęło 450 lat od chwili, gdy Władysław Jagiełłończyk, król czeski, ufundował Uniwersytet Wrocławski. Myślby się jednak ten, kto by w obecnym Uniwersytecie lub nawet w poprzednim, niemieckim, dopatrywał się ciągłości uczelni Jagiellońskiej. Ciągłość ta zerwana została już zanim edykt królewski wszedł w życie.

FELIETONY PRZYKŁADNE

Kto w Polsce nie zna nisko-gi, sugestywnego głosu Wandy Odolskiej? Kto nie pasjonuje się, kiedy przed mikrofonem staje ta znakomita felietonistka, aby spokojnym tonem czytać swoje piękne felietony? Dobrze się wie, że te perłki publicystyki ukazały się wreszcie w wydaniu książkowym („Czytelnik” 1955). Na tom skromnie zatytułowanym „Felietony” złożyła się blisko setka utworów. Trudno jest pisać o takim wydawnictwie. Trudno, gdyż każdy felieton jest inny. Łączy się jednak jedna rzecz: troska o człowieka. I obojętnie, czy Odolska pisze o sprawie Rosenbergów, czy też o kłopotach małego hotelu robotniczego, z każdego felietonu przebija umiłowanie sprawy dla nas najważniejszej — sprawy ludzkiej.

Kilkadziesiąt felietonów, to kilkadziesiąt różnych zagadnień świadczących o szerokim zakresie zainteresowania pisarki. Każde zagadnienie podane w ciekawej, atrakcyjnej formie, z każdego wyciągnięty odpowiedni wniosek uogólniający. Odolska jest felietonistką bezkompromisową. Jeżeli dzieje się gdzieś źle, to nie szuka usprawiedliwień, lecz winnych. I zawsze ich znajduje. Z własną sobie pasją ukazuje ich prawdziwe oblicze, ośmiesza, zdemaszkuje.

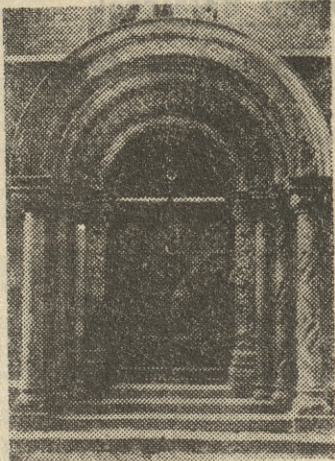
Myślby się jednak ten, kto by sądził, że Odolska to ucieczka z miernego niezadowolony zawodowy krytykant. W jej felietonach znajduje oddźwięk każdy pozytywny fakt, każdy moment który świadczy, że życie staje się u nas jeszcze lepsze, jeszcze piękniejsze. Mówi o tym z czułością i dumą, a równocześnie z wiarą, że będzie jeszcze lepiej.

Felietony zostały podzielone na działy tematyczne. W ten sposób umożliwiono czytelnikowi łatwiejsze zorientowanie się w bogatej tematyce. W każdym jednak dziale zachowano chronologiczność tych ciekawych publicystycznych. Na zakończenie mała uwaga dla tych, którzy ich jeszcze nie przeczytali: felietony Odolskiej są jak dobre wino — nie należy więc pić ich jednym haustem, lecz małymi dawkami. — Delektować się. A naprawdę warto!

Janusz Księski

Henryk Barański

Mieszkaństwo wrocławskie nie przyjęło zyczliwie myśli ówczesnych humanistów, tak samo jak znacznie później ustosunkowało się do niej. W XVII wieku do Akademii jezuickiej w czasach kontrreformacji. Za niezrealizowanie zamierzeń królewskich nie należy jednak winić tylko mieszczan wrocławskich. Patrzyli oni wprawdzie niechętnym okiem na przybyszów i nie dali żadnej pomocy materialnej dla erygowanego uniwersytetu, lecz wpływy mieszczan niemieckich Wrocławia



Wrocław — romański portal z końca XII w. przy kościele Marii Magdaleny.

nie sięgały do tronu króla Władysława. Przyczyny tkwiły znacznie głębiej.

Przeciwko założeniu uniwersytetu we Wrocławiu zaprotestowała Akademia... krakowska, która uznała się zagrożoną w swych przywilejach i zaniepokojoną o ubytek uczniów pochodzących ze Śląska. W owych czasach decydował patriotyzm lokalny, wiążący się z interesami dynastii czy wyznania. Powstanie uniwersytetu we Wrocławiu, gdzie polska ludność wiejska Śląska nie miała wpływu na układ stosunków w mieście, zaniepokoiło Polaków. Śląsk był wówczas we władaniu korony czeskiej. Istnieją przypuszczenia, że to wielkopolscy łascy poparli protest Akademii krakowskiej u króla Aleksandra Jagiellończyka, który z kolei zapożyczał do papieża. Kuria rzymska, licząc się ze stanowiskiem Polski, edykt czeskiego Jagiellona unieważniła.

Sprawa założenia uniwersytetu we Wrocławiu wznowiona została dopiero w XVII wieku. Są to czasy kontrreformacji. Jak wszędzie, tak i we Wrocławiu jezuici, głównie Niemcy, postanowili wzniesić bastion reakcji katolickiej przeciwko protestantom i utworzyli swe kolegium w 1638 roku. Później dopiero rozwinął się zeń humanistycz-

ny uniwersytet. Stało się to wbrew stanowisku wrocławskiej rady miejskiej, która zwróciła się z energicznym protestem do cesarza austriackiego Leopolda I.

Treść protestu jest bardzo charakterystyczna dla niemieckich mieszczan wrocławskich i nie pozbawiona posmaku politycznego.

„Cóż to za pomysł — aby najzdolniejsze umysły poświęcić się nauce! Bogactwo kraju tworzy: przemysł, handel, rolnictwo, ale nie nauka. Najzdolniejsze umysły powinny poświęcić się handlowi; zbytek uczonych jest chorobą kraju. Uniwersytet jest na Śląsku w ogóle niepotrzebny, a już katastrofą byłby dla Wrocławia. Porządek i handel są podstawą jego bogactwa. Uniwersytet ściąganie scholarów — wśród nich wielu Polaków. Cała ta młodzież, wyjęta spod jurysdykcji miejskiej, bezkarna, zaczyna zaciągając dług, wzbudza budy i tumulty, a nawet rabować. Miasto będzie bezsilne. Za jakąś represję tej młodzieży król może cofnąć przywileje handlowe.”

Na dnie protestu leży, rzecz jasna, niechęć protestantów Wrocławia do tej jezuickiej „impresji”. Miasto chciało się nawet okupić daniną 9 tys. talarów, byle nie posiadać tej uczelni. Dopiero w 1702 r. po długich oporach miasta sporządzone zostały akty, erygujące we Wrocławiu uniwersytet o dwóch wydziałach: teologicznym i filozoficznym. W r. 1705, a więc przed 250 laty uniwersytet wrocławski otrzymał przywilej na drukarnię i rozpoczął normalne życie.

Rozbudowanie uniwersytetu zawdzięcza Wrocław wojnom napoleońskim. W 1807 r. armia francuska pod wodzą gen. Vendôme po miesięcznym oblężeniu zdobyła Wrocław. Francuzi gospodarzyli tu do 1812 r. Oni to nadali miastu w 1809 r. nowy statut miejski i przeniesli z Frankfurtu nad Odrą tamtejszy, słabo rozwijający się uniwersytet i połączyli go z wrocławskim.

Zarówno w kolegium jezuickim jak i w późniejszym uniwersytecie ściślejszy wpływ polski i niemiecki. Miasto otoczone było więcem wsi polskich i mowa polska rozbrzmiewała nie tylko w mieście, lecz również w murach uniwersyteckich, do których sięgała młodzież polska z pozbawionego uniwersytetu Poznania i innych miast Wielkopolski. Tradycje naukowe polskie przetrwały we Wrocławiu aż do czasów, gdy wrócił nareszcie do Macierzy Wrocław, stracony kiedyś wraz ze Śląskiem wskutek nierozsądnej polityki dynastycznej Jagiellonów.

Zródło:

Ewa Małczyńska: Polskie tradycje naukowe i uniwersyteckie Wrocławia. Wrocław, 1946.

Władysław Jan Grabski: 200 miast wróciło do Polski.



Sopot, w sierpniu.

Korespondencja znad morza powinna dać przegląd tych wszystkich spraw, które skupiają się w soczewce zainteresowań czasowiczów. Bo stały mieszkańcy Trójmiasta inaczej nieco reagują na wrażenia. A tych ostatnich naprawdę w sezonie nie brakuje.

Ludzie przyjeżdżają nad morze po słońce i wodę. Chciałoby się wygrać, wypływać i opalić! Niektórzy nawet twierdzą, że przede wszystkim — opalić. Zresztą pogoda w sierpniu jest tu naprawdę wspaniała! Słońce panuje wszechwładnie, a więc kto żyje ciągnie na plażę. — Miejsce nad morzem w Sopocie liczy się na „centymetry. Piasek nad wodą jest ustyany ciałami ludzkimi różnej płci, różnego wieku i — urzędu. Drugim miejscem w Sopocie, gdzie panuje wszechwładnie „zageszczenie”, jest — molo. Tu już od wczesnego rana tworzą się kolejki przy Kasie Zegluga Przybrzeżnej. Szczególnie w soboty, nie dzieje i święta kupienie biletu na statek do Gdańska, Jastarni, Helu czy Gdyni staje się prawdziwym problemem. Współczuć należy kasjerce, ponieważ jest jedna, a amatorzy morskiej podróży są uparci, podenerwowani i dlatego mało uprzejmi.

Choć pogoda góruje nad wszystkim, a przyjemność morskie, jak: pływanie, kajakowanie, przejażdżki statkiem nadają ton życiu — nie brak na Wybrzeżu i innych wrażeń, których dostarczają czasowiczom niestrużeni organizatorzy. Nie trzeba daleko odejść od morza i nie trzeba drogo płać, by obejrzeć ciekawą wystawę 10-lecia Polski Ludowej na morzu. Oczywiście, to nie „Targi Poznańskie, ale i tu jest co zwiedzać! Oko się nie męczy, gdyż o piękną i estetyczną stronę dekoracyjną wystawy postarali się miejscowi plastycy. Prezentują oni poza tym na wystawie swój bogaty dorobek twórczy! Obrazów jest dużo, o rozmaitej tematyce. Oczywiście, nie brak morza, rybaków i innych charakterystycznych motywów, związanych z regionem. Wiadomo zresztą, że plastycy Wybrzeża stanowią i ilościowo i jakościowo mocną grupę twórców. Zwiedzający wystawę z przyjemnością oglądają ciekawe plansze, a obok nich pełne wyrazu ekspozycje: oryginalne okazy ryb morskich, modele statków pasażerskich i handlowych, kutrów dalekomorskich, sprzętu do połowów, urządzeń portowych (w ruchu), ciekawy model polskiej echosondy do badania dna morza, wnętrza kajuty dla załogi z okresu niedźwinnego i obecnego, strój nurka z pełnym wykwapowaniem... Do połowy sierpnia br. wystawę zwiedziło przeszło 300 tys. osób. Księga pamiątkowa uwieczniła wiele podpisów turystów: z Łodzi, Poznania, Wrocławia, Stalino, Zakopanego...

List z Wybrzeża

O PLAŻY WYSTAWACH

i ŚLEDZIOWYM KRÓLU

Skoż już mówimy o wystawach. Trzeba, gwoli kronikarskiej ścisłości, poświęcić parę słów otwartej niedawno, bo 20 bm., Wystawie Sztuki Ludowej w Gdańsku, w Zbrojowni. Wystawa została podzielona na dwa zasadnicze działy: historyczny i dział 10-lecia. Obejrzeć tu można wykopaliska, garnce, narzędzia, sprzęt, haft, bursztyniarstwo, strój ludowy, charakterystyczne malarstwo na szkło, rzeźbę, bardzo ciekawe dla sztuki kaszubskiej — rógarstwo i wreszcie dział pamiątkarstwa.

Swego rodzaju wydarzeniem dla Trójmiasta było spuszczenie na wodę kadłuba 15 trawlera, zbudowanego w Stoczni Gdańskiej. Nastąpiło to o 20 dni wcześniej niż przewidywał pierwotnie ustalony termin. Warto przy okazji powiedzieć, że dawniej kadłub trawlera budowano 4,5 miesiąca, obecnie zaś trwa to 2 miesiące, jak pokazała dzielna załoga Stoczni Gdańskiej. Gdynia nie chce być gorsza od Gdańska i współzawodniczy z nim, tym razem w obniżce kosztów własnych przedsięwzięcia. Zdystansowała ona port gdański o 3,5 milionów zł. Podobnie indywidualni rybacy gdynscy zwyciężyli we współzawodnictwie za okres II kwartału, wyprzedzając się przed: Jastarnią, Hel i Władysławowem.

Skoż wkroczyliśmy w dziedzinę spraw rybackich, to powiedzmy jeszcze Czytelnikom „Głosu” o przygotowywanych rybaków helskich do „połowania” na węgorze. Za kilka tygodni zacznie się sezon i trzeba przygotować się na spotkanie wielkiego ciągu węgorzy na tarlisku w Morzu Sargassowym. Nie lada sensacją dla „świata rybackiego” było złowienie przez załogę kutra „Jas-74” z szyprem — Andrzejem Kohnke na łowiskach kłajpedzkich śledzia o długości 38 cm. Taki śledź nazywany jest „królem śledziowym”. Istnieje tradycja, że załoga, z chwilą złowienia „króla śledziowego”, wiesza go na dziobie statku. I śledź króluje tam aż do chwili pierwsze-

go niepowodzenia w połowach. — Wówczas albo mu wygrażają, albo też wyrzucają Jego Królewską Mość za burtę.

Korespondencja z Wybrzeża zakończyła wiadomością o pomocy, jakiej w ramach międzynarodowej solidarności braci rybackiej udzielił nasz rybak z Krajowego Związku Spółdzielni Rybołówstwa Morskiego ofiarom trzęsienia ziemi — greckim rybakom z Valos. Mianowicie z ubieranych przez siebie składkę zakupili oni i wysłali do Grecji gotowy sprzęt rybacki, służący do połowów.

J. JACUSIŃSKI

Z CAŁEGO ŚWIATA

DRZEWO CUKIERKOWE

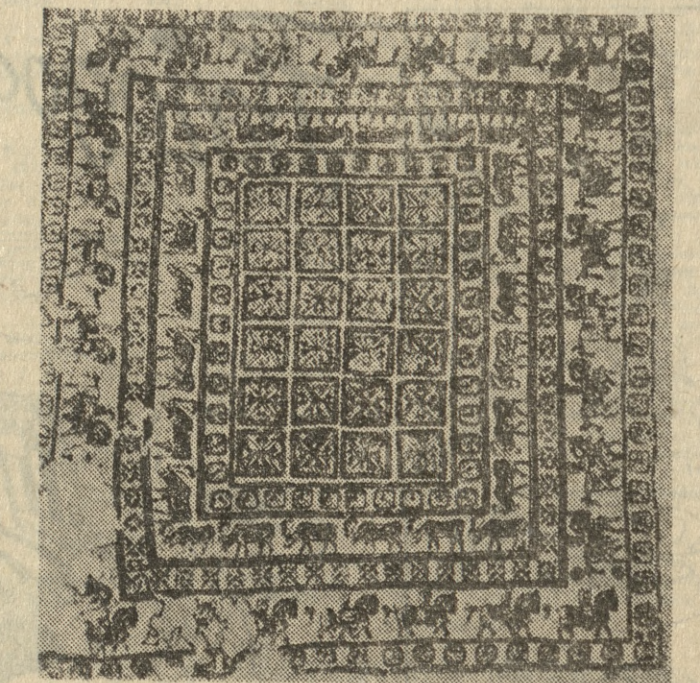
Uczni radzieccy prowadzą wielkie prace nad zaaklimatyzowaniem w Związku Radzieckim różnych nowych gatunków roślin. W ciągu krótkiego czasu w wilgotnych rejonach podzwrotnikowych udało się zaaklimatyzować wiele cennych gatunków drzew, wśród nich i drzewo cukierkowe.

Mięsistych ogonków owocowych, zawierających około 35 procent cukru, używa się jako nadziewania w przemyśle cukrowniczym. Z jednego drzewa można zebrać około 35 kg ogonków owocowych, dojrzewających jednocześnie z owocami.

MASZYNY ŚCINAJĄ DRZEWA W LESIE

W lasach radzieckich na Syberii przeprowadza się na wielką skalę wyrab drzewa. Robotnicy radzieccy wykonują ciężkie prace niemal wyłącznie maszynami. W ostatnim sezonie zainstalowano tu wiele nowych maszyn. W wielu miejscach wszystkie czynności związane z obróbką drzewa, poczynając od przecinania aż do załadowania na wagony, zostały zmechanizowane. Ruchome elektrownie w lesie dostarczają potrzebnej energii elektrycznej dla pil.

Najstarszy dywan świata



W dolinie wiecznych lodów zwanej Pasyryk, w górach Altaju, na granicy Mongolskiej Republiki Ludowej uczeni radzieccy dokonali ostatnio sensacyjnego odkrycia. W dolinie tej odkopano w lodowcu 5 kurhanów, zawierających grobowce władców scytyjskich sprzed 2500 lat. W jednym z tych kurhanów znaleziono dywan niezwykle misternej roboty o rozmiarze 1,85 m x 1,98 m, służący prawdopodobnie jako czaprak do nakrycia osiodłanego konia. Dywan ocalał w lodowcu w 90 proc., i, co najdłuższe, zachował swe kolory w ornamentyce. Są to barwy ciemno-czerwona i złoto-złota.

Odkrycie to obalilo dotychczasowe przekonanie, że najstarsze znane dywany pochodzą sprzed 1400 lat.

Członek radzieckiej Akademii Nauk prof. Rudenka ustalił, że dywan pochodzi z VII stulecia przed naszą erą. Motywy dywanu zaczerpnięte zostały z posadzki kamiennej jednego z pałaców asyryjskich w Ninii, pochodzącego z VIII wieku przed naszą erą.

Fakt ten — jak stwierdza „Neue Berliner Illustrierte”, skąd czerpiemy tę wiadomość — dowodzi żywych kontaktów pomiędzy państwem asyryjskim a państwem Scytów. Po odnowieniu, ten nie zwykły okaz zamierzającej sztuki zdobniczej Scytów wysłany został w galerii obrazów w Ermitażu w Leningradzie, gdzie artyści-malarze dokonują z niego odrysów, a tkaczki uczą się na tym wzorze sztuki tkania dywanów.

(fb)

przystanął. Objął zdumionym wzrokiem łęgi. Stosy cegieł i piasku. Słychać było gęzgot piły, przytłumione odgłosy młotów. Ciesie i betoniarze kłócili się o coś zawzięcie. Na podłużnej tablicy, przymocowanej do dwóch słupów, spozstrzegł na czerwonym tle biały napis: „Załoga podlega długofalowe zobowiązania.”

— No, tak. No, tak — powtarzał szepem, zbliżając się do altany. — Już budują.

Pogłaskał chropowaty stolik, na którym liście przyproszyły cieniem złote prążki słońca.

— A dzieci nie przychodzą. Zapomniały...

Zjawily się, kiedy się zdrzemnął. Ale nie zbudził „dziadzi”. Z dziećmi przyszły ciekawskie dwie mamusie. No, bo po co zawozić dzieci „stary dziwak”? Z takim człowiekiem nigdy nie wiadomo, co i jak.

— Czas, że te altany rozbiorą, prawda pani Wójcicka? I ta cała łaka też na nic była.

— Dzieci, to ten stary kocha. To prawda.

— Kocha, nie kocha, moja złocista. Dziwak i tyle.

— Tak mówicie. A znam jednego, niedaleko nas mieszka. Też już w podeszłym sobie wieku, a ludzi po sądach włości, o byle głupstwa. Starość, a starość. Różnica.

Dzieci, znudzone widokiem betoniarów i różnego budulca, przybiegły do altany. A dziadkowi przez sen stolarze nową altanę budowali. Ze szklanym dachem, z kolorowymi szybami. I wszystko było jak dawniej. Dzieci zbierały kwiaty na łące. Ale spadł nagły deszcz. Wierozwieszona gromadka z piskiem sfruwała do altany...



Rys.: L. Kapczyński

— Co tam dziadzia ma? Co tam jest?

— Zagadnien, któraś z dziewczynek, zdmuchując niesforne kosmyki włosów.

Dwie mamusie pełne ciekawości zaglądały do altany. „Dziadzia” nie spuszczał się z otwarciem skrzyni. Jakby

pragnął jak najdłużej zatrzymać dla siebie uroczystą chwilę i poświęcić ją dzieciom... Ale otworzył w końcu. Mamusie skrzywiły usta.

— No, wie pani? Też coś! Gdzie on to znalazł?

„Dziadzia” podawał dzieciom skrzywione łopatki, drewniane baki, szczyrniały łyżeczki. Znalazł się nawet mały niedźwiadek bez nóg. Najładniejsze były dwa kolorowe wiaderka.

— To dla was. To wszystko dla was. Nie trzeba zostawiać zabawek na łące. Dziadzia miał z tym dużo kłopotu. He, he, he... kochani. A poznacie na ulicy waszego dziadka?

Uklękł przy skrzyni i szukał w niej czegoś zawzięcie.

— Poznamy, poznamy. Pa! Do widzenia!

Jedna z matek odrzuciła łyżeczki.

— A niedźwiadek! Kto z was weźmie niedźwiadek?

Wstał z trudem, opierając się o stolik. Ale dzieci były już po drugiej stronie łąki. Słychać było rozweselone odgłosy. W pobliskich domach zabłysły światła. Wiatr zaszeleścił bluszczem zgazonych liści. Podparty kamieniem stolik przechylił się na ławkę. Zgarnął pozostałe zabawki i schował do skrzyni. Z niedźwiadkiem w ręku oddalał się ciemną ścieżką. Z chwilą, kiedy minął go stróż, przystanął. Pragnął choć z kimś się pożegnać. Usłyszeć choć słowo.

— Dobrej nocy! — wypowiedział raczej szeptem. — Szkoła będzie duża, prawda? Piękna będzie...

Kroki stróża oddalały się w ciemnościach.

Wieczór rozpryskał po nieboskłonach srebrne gwiazdy.

PLAN ZAJĘĆ



PRZYRODA



GINNASTYKA



MATEMATYKA



Rys. Zbigniew Klubin
POLSKI

To i owo

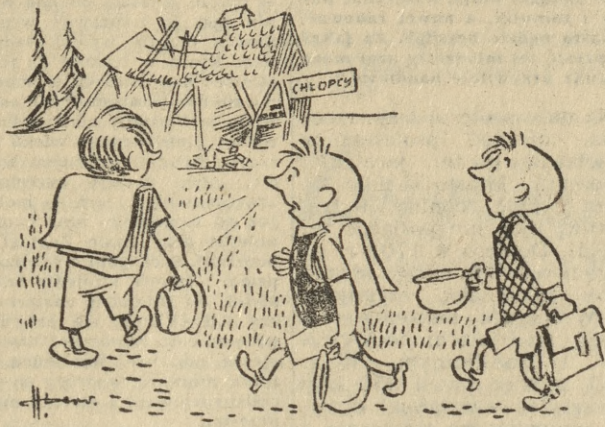
Recenzja

„Zasiadła nareszcie przy fortepianie, odsunęła głęboko mankiety, jak gdyby chodziło o zwycięstwo w zapachach bokserkich i zaczęła naciągać wszystkie palce, aż trzeszczało w stawach. — Domyslałem się, że to zapewne było zrobione dlatego, aby dłoniom nadać więcej giętkości. W końcu rozpręstrzeńska palce tak, że zdawało się, iż chce naraz objąć całą klawiaturę, od mruczącego końca do piszczącego. Następnie obie dłonie z taką zajądłością spadły na nieszczęsne klawisze, jak para tygrysów na stado białych i czarnych owiec. Równocześnie fortepian zaczął wydawać tak straszne wycie, jak gdyby był on zwierzęciem i ktoś mu na ogon nastąpił.

Nagle cisza grobowa, wśród której można było słyszeć jak włosy na głowie rosną. I znów tygrysy spadły na owce ze spotęgowaną zajądłością i znów odczuwało się wycie i skomlenie, tym razem jak gdyby fortepian miał dwa ogony, na które jednocześnie nastąpiono — a w końcu wielkie, świetne brzdąkanie, kwiczenie i cały szereg zakazanych skoków palcami, co wszystko razem wzięwszy sprawiło raczej wrażenie jakiejś ogólnej wędrowki szczurów i myszy, niż tego, co ja nazywam muzyką.

Nie, to nie parodia, ani kiepska humoreska. To najoryginalniejsza i najprawdziwsza recenzja pióra krytyka nowojorskiego Oliviera Wendella Holmesa z występu w Nowym Jorku słynnej pianistki europejskiej w r. 1875.

JAN ESKI



Przybory szkolne
Rys. Henryk Derwich

Traszk

ZAROZUMIAŁEJ

O zarozumiała „sztuki“ bogdanko!
Niech-że uwagę ci zwrócę:
Można być przecież malarza kochanką —
Lecz nie oddawać się sztuce!

Konrad Dobberschütz

O DZIEDZICZNOŚCI

Prawo dziedziczości nie jest już przesadą:
Porównałem poziom „Artosu“ z „Estradą“.

Janusz Księski

O PEWNYM AGRONOMIE

Jak przystało aktywiście —
na słodyszka ciągle psioczy.
Znać go nie chce... Rzeczywiście!
Bo nie widział go na oczy!

Włodzimierz Scisłowski

Józef Ratajczak

Wypad w teren

(wg Sarczewicza)

Chciał jechać orać odłogi,
by złapać jakiś temat,
lecz w pół zaledwie drogi
napisał cały poemat.

Wysiada więc spieszenie na peron,
wraca, drukuje, co żywo —
tam orzą i sieją dopiero
a on już zbiera żniwo.

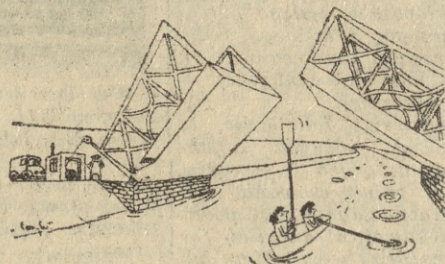
Jak zostać milionerem

Gazeta francuska „l'Humanité“ zamieściła w swoim dodatku satyrycznym list „małej marzycielki, która pyta, jak zostać naprawdę milionerem, gdyż narzeczony jej chce być „kawałcem swego szczęścia“ — studiowała życiorysy Rockefellera, Morgana, Forda — lecz, niestety, ani sprzedaż gazet czy kwiatków, ani czyszczenie butów nie przyniosły mu fortuny.

Redakcja „l'Humanité“ odpowiedziała „małej marzycielce:

„W obecnych warunkach znamy tylko jeden uczciwy sposób, aby zostać milionerem: czekać cierpliwie na inflację, która, jak wiadomo, nie jest za górami. Wystarczy przypomnieć z historii, że w Niemczech w latach 20-tych inflacja napędzała kieszenie największych biedaków miliardami miliardów i ani jeden przechodzień nie ośmielił się podać żebrakowi mniej niż 10 miliardów. Trzeba było mieć 30 miliardów, aby kupić pół kilo chleba. Innego sposobu nie znamy.“ (Oprac. Erjot)

Bez podpisu



NA GRANICY DWÓCH GROMAD

— Pozwólcie, kumie, odpocząć trochę w waszej kuku-rydzy, bo w mojej za bardzo przypieka... („Krokodil“)

WŁ. SCISKOWSKI Szeleki

Krytyczny artykuł puszczono w gazetce, że szelek ostatnio brakuje w powiecie,

...że zakup tych szelek jedynie dziś sen to — niedbalstwo detalu surowo wytknięto.

Prócz tego wspomniano o pracy hurtowni — że tutaj dyrektor, a tam znów kierownik...

Uwagę — jak trzeba — każdego z nich przykuł wspomniany już wyżej o szelkach artykuł.

Dyrektor hurtowni napisał rad nie rad na osiem stron druku potężny referat.

Kwieciстым swym stylem zabłysnął jak neon i stwierdził, że winny tu detal, a nie on.

Wnet wysłał odpowiedź jak każe ustawa, i odtąd przestała obchodzić go sprawa.

Kierownik z detalu też przejął się wszystkim — odpowiedź pisał aż trzy maszynistki.

Bezsporną dedukcją obronił swój sektor — a winę ponosi hurtowni dyrektor!

Jak każe ustawa — odpowiedź tę zgrabną wnet wysłał do prasy i z ulgą odsapnął.

Więc wszystko w porządku! Niech żyje krytyka! Niech zawsze pomaga! Niech błędy wytyka!

Obydwa są dumni, bo żaden z nich nie legł, a ludzie się dziwią i... chodzą bez szelek.

(„Eulenspiegel“)

Plazogodziny

